

WSPÓŁCZESNA ABISSYNIA

I

CESARZ TEODOR II.

Wiadomo czytelnikom z gazet, że rząd angielski, po długich a nadaremnych układach, postanowił z mieczem w ręku uwolnić obywateli swoich, konsulów i misyonarzy, uwięzionych bezprawnie przez cesarza *Abissynii*; w tym celu odpłynęła armia do dalekiego kraju. Trudno naprzód wiedzieć koniec wyprawy, bo chociaż doskonała broń i zimna odwaga rokują Anglikom zwycięstwo, jednak pamiętać także trzeba, że weszli do kraju, obszernego jak Francya, najeżonego górami, przeciętego labiryntem niezliczonych wąwozów, wystawionego nareszcie przez większą część roku na wszelkie okropności pory deszczów zwrotnikowych. A gdy nawet uda się pobić dumnego mocarza *Abissynii*, to bynajmniej nie koniec wyprawy, ale raczej jój początek; plemiona abissyńskie, żyjące między sobą w wiecznej niezgodzie i wojnie, zbuntowane wiecznie przeciw swemu cesarzowi, zapomniały już nieraz domowych niesnasek, aby wspólną nienawiść zwrócić przeciw obcym. Wtedy z niezrównanym fanatyzmem broniąc gór swoich, dowiedli nieraz, że do *Abissynii* wniknąć łatwo, ale trudno z niej wrócić; łatwo ją podbić, ale trudno się przy podboju utrzymać. Zapomnijmy przecież na chwilę o małej armii angielskiej, która uzbrojona w gwintowane działa i z tyłu nabijane karabiny, posuwa się odważnie naprzód, z wąwozu w wąwóz, z doliny w dolinę, nie napotykając nigdzie nieprzyjaciół, tylko tu i owdzie gromadkę

zdziwionych górali; podczas gdy się zapuszcza coraz dalej w nieznane odwieczne lasy, wśród stromych skał i niebotycznych gór, a przeniesmy się choć myślą, do dalekiego kraju aby przypatrzeć się jemu i zapoznać się z ludem, który tak niespodzianie zwrócił na siebie uwagę wszystkich europejskich dzienników. Sądzę, że czytelnicy chętnie towarzyszyć nam będą w tej geograficznej wycieczce, do mało znanych, a tak odległych stron.

Równolegle z morzem Czerwoném, ściśnięty wąską doliną, toczy odwieczny Nil spokojne swoje nurty; gdy czytelnik rozpocznie od ujścia jego, w górę rzeki, małą wędrówkę, rozumie się na mapie, to przesunie się palec jego najprzód przez płaski *Egipt*, potem przez górzystą *Nubią*, aż nareszcie w południowej Nubii rzeka, wzdłuż której odbywamy naszą geograficzną wędrówkę, rozdziela się na dwa, prawie równo silne, ramiona, z których jedno płynie od południowo-wschodniej, drugie od strony południowo-zachodniej; łączą się zaś oba ramiona pod miastem *Chartum*, w Nubii, jak wspomniano, aby odtąd we wspólnym, braterskim uścisku pośpieszyć do morza. Prawda, że nie bardzo się śpieszą, bo od *Chartum* do *Alexandryi*, nad ujściem rzeki, mil dwieście kilkadziesiąt, a Nil tak płynie powoli. Nie staniemy przecież w *Chartum*; siadamy na łódkę i jedziemy w górę, ramieniem rzeki, które płynie od wschodnio-południowej strony. Im dalej idziemy, tém dziksze, tém więcej malownicze kraje; jeszcze mil kilkadziesiąt a jesteśmy u granic Abissynii: gdybyśmy szli dalej, dostalibyśmy się niechybnie do mało znanych źródeł rzeki, ale podróż wodą staje się niemożliwą, bo coraz więcej skał, coraz więcej wodospadów. Otóż więc i Abissynia. Stanowi ona całość w sobie zamkniętą, jak Szwajcarya, do której z powierzchni swojej bardzo jest podobną. Do morza Czerwonego nie dochodzi, przedzielona piaszczystą płaszczyzną, w której mieszkają napół dzikie, czarne plemiona, wierzące w Mahometę i słuchające tureckiego sułtana; prawda, że ich poddaństwo dosyć jest wątpliwém. Od północy otacza Abissynią wspomniana już Nubia, od zachodu zaś i południa kraje bardzo mało znane, które jednak nie tak straszne i smutne w naturze, jak wyglądają dotąd na mapie, jeśli

wiarę damy rzadkim podróżnym, co je zwiedzali. I tak sterczy sobie Abissynia, uwieńczona niebotycznymi górami, zamknięta w sobie, nie dająca nigdzie łatwego przystępu; sterczy sobie, jak niezachwiana skała, o którą uderzają od lat przeszło tysiąca wezbrane mahometanizmu fale, bo trzeba wiedzieć, że Abissynia jest od XV wieków krajem chrześcijańskim, odciętym od wszelkiej styczności z resztą ludów Chrystusa, okolonym zewsząd wyznawcami pół-księżycy. Prawda, że dosyć dziwne tam wegetuje chrześcijaństwo, ale o tém później.

Na oko Abissynia jest bardzo uroczym krajem: płaszczyna przegradzająca ją od morza Czerwonego jest nieurodzajną, nudną, przykrą i niezdrową, ona zaś urozmaiconą, żyzną, obdarzoną powietrzem czystém i ożywczém, choć większa część kraju nawet 10° nie jest oddaloną od równika. Odróżniać jednak trzeba doliny od gór i wyżyn: w dolinach klimat duszący, zwrotnikowy, ale na górach powietrze prawdziwie szwajcarskie; słusznie téż kraj ten przezwano afrykańską Szwajcaryą. Ogromne wyżyny piętrzą się jedna nad drugą, a na ostatnich sterczą wierzchołki gór, przechodzące zwykle 10,000'. Wyżyny te, wyniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, odgradzone są od siebie niezliczonymi jarami i wązkiemi dolinami, których dna często nie dojrzysz z góry, a każda z tych dolin, gdy nastaje pora deszczów, zamienia się w koryto olbrzymiej rzeki. Przecież szamocące się fale nie długo panują, znikają bez śladu razem z deszczami, a wtedy zwrotnikowa wegetacja, o której bujności i żywych kolorach trudno na Północy nabyć dokładnego wyobrażenia, okrywa owe doliny i jary i wszystkie podnóża stromych gór. Przypatrzmy się tym dolinom, przez które teraz przedziera się armia angielska. Dolina czasem tak wązka, tak ściśnięta z obu stron niebotycznymi granitami, że zrazu nie wiesz, czy to dolina, czy tylko rozpadlina wśród skał, i z bojaźnią zapuszczasz się w ciasny wąwóz, w którym zdaje ci się co chwila, że skaliste ściany ścisną cię jak w kleszczach i więcéj nie wypuszczą. W tych wąwozach, a liczą się one na tysiące, panuje cisza grobowa; żaden ptak tam nie zagości, bo mu zaduszno i ciemno, tylko małpa czasem, wspinając się na skałę, za-

krzyczy z przestachu i krzyk ten jeden przerywa straszne milczenie; a gdy się burza zbliża i jesteś właśnie w takim wąwozie, wtedy nie namyślaj się: uciekaj co prędzej, abyś się wydostał z niego, bo dosyć jednej godziny lub dwóch, aby zapełnił się huczącymi falami, które pochłoneły już nie jedną karawanę. I znowu za kilka godzin ani śladu powodzi, ta sama cisza co przedtem, i chyba strumyczek mały wije się leniwie wśród miękkiego koryta.

Z wąwozu wjedziesz w nieco szerszą dolinę, ale tam podróż także nie bardzo bezpieczna. W gęstych, nieprzeniknionych krzakach i zaroślach wije się straszny *boa*, czychają lwy, grassują stada dzikich słoni, a gdy znużony przejedziesz noc pod gołym niebem, napadnie cię febra niebezpieczna. Śmierć towarzyszy ci we dnie i w nocy, na każdym kroku, pod wszelką formą. Ale z wielką ciemnością sąsiaduje zawsze wielkie światło, z silną śmiercią silne życie. A jakie tam życie olbrzymie! Przed tobą trawa potężna jak trzcina, a gdy w nią wjedziesz, nie widać ani ciebie ani konia; nie przejedziesz zgoła, jeżeli nie znajdziesz drogi wydeptanej przez słonie. A z takiej dziewiczej łąki wjedziesz niebawem w również dziewicze lasy: rozłożyste odwieczne *sykomory* o szerokich liściach i niezmiernych konarach rozciągają cień, przez który nie przedarły się nigdy promienie słońca; droga staje się niemożliwą, bo wszędzie przed nogami twemi olbrzymie drzewa, wiekiem lub wichrem powalone, które runąwszy gniją od wieków, rozkładają się w atomy, co prawie pod okiem przechodnia zamieniają się w nowe rośliny. Wszystko tam bezustannie rośnie, rozwija się, kwitnie, tryska życiem na wszystkie strony.

Ale te doliny, obdarzone wszystkimi cudami i klątwami zwrotnikowego nieba, nie stanowią jeszcze prawdziwej Abissynii; chcesz ją poznać, to wstąp na szerokie wyżyny, wzniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, rozpostarte u podnóża gór jeszcze wyższych. Tam klimat zupełnie odmienny: powietrze jędrne, wiatr zimny, mało drzew, zwierzyny żadnej. Trawa tam wiecznie zielona, choć skromniejsza, jak w dolinach, to też pasą się wszędzie nieprzejrzane stada owiec i wołów; ziemia żyzna i czarna, wymagająca wprowadzie pracy, ale też chłodny wiatr osusza pot na czole znużonego oracza. Gorąco nie ubezwładniło

człowieka jak w dolinach: lud silny i rośli, pilny gdy potrzeba; wieś graniczy ze wsią, dziki zwierz ustąpił do dolin, przyroda poddała się zupełnie uprawie.

Z krótkiej téj charakterystyki widać, że natura wypozażyła Abissynią i najładniej i najgorzej z pomiędzy dzielnic Afryki. Doliny są niezdrowe nawet dla krajowców, a mimo żyznej gleby, prawie zupełnie zaniedbane; przy jakiej takiej uprawie mogłyby wydawać wszelkie płody krajów gorących, mianowicie dobrą bawełnę. Za to wyżyny obdarzone klimatem zdrowym i umiarkowanym, sprzyjają osiedleniu się Europejczyków: rodzi się tam wyborna pszenica i jęczmień, wino i kukurydza, nawet kawa. Również sprzyja klimat hodowaniu bydła: wielbłąd i koń, muł i osioł udają się wybornie; krów i wołów co nie miara, owiec również wielka obfitość. Świnie, gołębie, kaczki i gęsi uchodzą za nieczystsze i nie są hodowane, za to mają mieszkańcy szczególne upodobanie w kurach, mianowicie w kogutach, które żywione w każdym kościele służą zamiast zegarów: pianie ich wzywa do ranniej modlitwy. Miód i воск bardzo są poszukiwane, przecież tylko dzikie pszczoły ich dostarczają, ponieważ pszczelnictwo zupełnie jest nieznanem. Soli kamiennej nigdzie nie brak; wspominam dla tego o niej, że stanowi ona jeden z głównych towarów handlu z zagranicą: wywożą ją na południe i zachód do Murzynów, którzy cenią ją na równi ze złotem; kawały soli ważące w przecięciu 30 kilka łutów, są najpowszechniejszą monetą, można za jeden taki kawał kupić nieraz u Murzynów niewolnika. Mimo téj obfitości wszystkiego i wybornego klimatu na wyżynach została Abissynia upośledzoną od natury; kraj to bowiem zupełnie zamknięty w sobie, nie dochodzi ani do morza i nie ma żadnej rzeki spławnej, któraby go łączyła z resztą świata: za tém idzie brak komunikacyi i mały rozwój handlu. Góry graniczne spadające wszędzie dosyć stromo przepuszczają tylko tu i owdzie handlowe karawany; gdy się zaczyna pora deszczów, ustają wszelkie podróże, dla braku mostów i dróg, bo rząd tam od wielu wieków nie osobliwy.

Mieszkańcy jednak radzą sobie jak mogą: ziemia ich żywi, chociaż uprawa roli jeszcze na téj samej stopie, na jakiej była przed tysiącem lat u starych Egipcyan. Pługi

drewniane, a forma ich prawdziwie przedpotopowa; niezgrabne sierpy jedynym sprzętem żniwiarskim, sposób młócenia bardzo pierwiastkowy. Jeżeli rolnictwo stoi tak nisko, naturalnie rzemiosła nie podniosły się wiele wyżej; mimo to wystarczają krajowe wyroby na wszystkie potrzeby życia. Ubiór nie wykwintny, ale ciepły i trwały. Złotnicy, malarze, kowale i tokarze, po większej części żydowskiej narodowości, nie wiele gorsi od naszych; gdyby zresztą powstała jaka taka konkurencya, obudziłoby się tysiąc zdolności, które dzisiaj drzemią zupełnie; bo lud zdatny do wszystkiego, ale od kilku wieków stan żołnierski, żywiący się kosztem kraju, pochłania najlepsze siły i szerzy dokoła niechęć do pracy. Miasta, główny warunek postępu i oświaty, podupadły w sposób niesłychany; żeby mieć o nich wyobrażenie, dość przypatrzeć się największemu. Jest to stolica *Gondar*, w części zachodniej kraju. Stolica ta licząca niegdyś 80,000 mieszkańców, ma ich dzisiaj ledwo 7000, wszystkie lepsze budynki i znaczniejsze ruiny pochodzą z wieku XVI, gdy wielu Portugalczyków wstępowało do służby abissyńskiej. Onito pobudowali wszystkie zamki i drogi, po których zostały się tu i owdzie smutne zwaliska. Sam zamek cesarski w Gondarze składający się z wielu gmachów, o licznych wieżach i kopułach, dzisiaj jest niezamieszkałą ruiną; jego mury i baszty rozpadły się oddawna, dziedziniec zamkowy obrócono w targowisko, park zamienił się w nieprzebytą gestwinę. Na około zamku, w dalekich odstępach, rozłożyły się pojedyncze dzielnice miasta, o wązkich, krzywych uliczkach: żydzi mieszkają osobno, mahometanie osobno, a chrześcijanie także osobno. Kościołów chrześcijańskich aż 44, pochodzą naturalnie wszystkie z lepszych czasów. Kształt wszystkich jeden i ten sam: nad zupełnie okrągłym gmachem wznosi się wysoki, śpiczasty dach słomiany; dokoła zaś kościoła otwarty krużganek o niezgrabnych filarach, przykryty także słomą. Niektóre kościoły opatrzone w dzwony, a wszystkie bez wyjątku otoczone gajami starych jałowców lub drzew oliwnych. Do kościoła wchodzi tylko mężczyźni, płeć żeńska odprawia swoje modlitwy we wspomnianym krużganku. W samym środku kościoła miejsce czworograniaste odgródzone, rodzaj jakiegoś *sanctuarium*, w którym przechowuje się arka przymierza i dziesięcioro przy-

kazań. Domy prywatne, tak samo jak kościoły, okryte słomą i zwykle kształtu okrągłego: dom każdy otoczony gęstym żywym płotem, bo hieny i lamparty zaglądają teraz aż na rynek miasta. Po tym małym obrazie stolicy, wystawi sobie czytelnik łatwo, czém są miasta prowincjonalne; niektóre z nich liczą ledwo kilkaset mieszkańców.

Wspomnieliśmy o licznych kościołach i klasztorach w *Gondarze*, nigdzie ich nie brak, można powiedzieć, że kraj cały zasiany niemi; ale czas wspomnieć o religii, która je dźwignęła. Wspomniałem na wstępie, że Abissynia jest krajem chrześcijańskim i to od wieków piętnastu; powiedzmy więc, jak nim została. Krajowcy przeplatają pierwsze swoje dzieje takiem mnóstwem bajek, że trudno odróżnić fałsz od prawdy: takie bajki otaczają także wprowadzenie chrześcijaństwa. Czytelnicy przypominają sobie z dziejów apostołskich, że św. Filip, wyszedłszy pewnego dnia z Jeruzalem spotkał się z rzezańcem królowej *Kandaki* i ochrzcił go. Ten wróciwszy do domu, do *Etyopii*, tak bowiem niegdyś zwała się Abissynia, nawrócił podobno królowę i cały dwór, i stał się tym sposobem rozkrzewicielem chrześcijaństwa w pogańskim dotąd kraju. Jakkolwiek nawrócenie podskarbiego królowej *Kandaki* nie ulega żadnej wątpliwości, nie wiemy jednak z pewnością, czy królowa panowała w samej Abissynii lub innym jakim kraju południowym, gdyż granice starożytniej *Etyopii* bardzo były niepewne, nie ma zaś najmniejszego dowodu, że nawrócony rzezaniec rzeczywiście apostołował za nową wiarą. Tyle pewna, że dopiero w IV stuleciu naszej ery, dwóch braci, *Frumencyusz* i *Edezyusz* wygłaszali słowo Boże w teraźniejszej Abissynii; nauka ich jednak, jakkolwiek ogarnęła kraj cały, wkrótce odcięta zupełnie od źródła prawdy, stała się dziwnym amalgamem chrześcijańskich dogmatów i żydowskich zabobonów. Wiele mianowicie zachowało się obrządków żydowskich, co nie zadziwia wcale, gdyż już przed wprowadzeniem chrześcijaństwa istniały w kraju liczne żydowskie osady, a wielu krajowców przystało było na ich wiarę. I tak, chrześcijanie abissyńscy święcą sobotę, zamiast niedzieli, uważają obok chrztu obrzezanie za niezbędne i praktykują takowe nie tylko na chłopcach, lecz i na dziewczętach; odróżniają jak żydzi zwierzęta czyste od nieczystych, uważają jak oni wiele

czynności jako zanieczyszczające, po których powinno nastąpić obmycie, zanim zanieczyszczony przestąpi próg kościoła. To też nie dziw wcale, że psalmy Dawidowe i księgi Mojżesza używają prawie większego znaczenia od Nowego Testamentu. A to, co się zostało z chrześcijańskich nauk, także bardzo jest mętném, jak wszystkie sekty, które się odłączyły od prawdziwego kościoła. Co do istoty Chrystusa hołdują mieszkańcy heretycznym wyobrażeniom *Monofizytów*; jeżeli Najświętszą Pannę otaczają słusznie czcią nadzwyczajną, to w zabobonie swoim oddają podobnąż cześć św. Jerzemu i Michałowi. Wszystko przesadzając utworzyli z chrześcijaństwa dziwną karykaturę. Utkwili w formalnościach, więcej dbając o nie, niż o treść duchową: i tak poszczą np. 10 miesięcy na rok, przestrzegają z największą skrupulatnością, aby nie zjedli zakazanego zwierzęcia i t. p. Do kościoła chodzą tylko w niedzielę, gdzie podczas mszy kapłan wszystkim rozdaje komunię. Nie wiem jednak, czy nabożeństwo ich można nazwać mszą, bo prócz odśpiewania psalmów i odczytania kilku ustępów z Pisma Św. inną ceremonii dojrzyć nie można. Duchownych świeckich i zakonnych mnóstwo niesłychane; stan ich jednak dosyć opłakany, bo wyjąwszy kilka klasztorów, odznaczających się wielkiem bogactwem, reszta księży, mianowicie świeckich, żyje w nędzy i próżniactwie. Na czele abissyńskiego duchowieństwa stoi niby prymas, zowiący się *abuna*, przysyłany za każdym razem przez *koptyjskiego* patriarchę rezydującego w Alexandryi, gdyż starodawna ustawa wyklucza krajowców od tej najwyższej posady. Świeckie duchowieństwo żyje w małżeństwie; zakonnicy zachowują ścisły celibat, mają zresztą osobnego naczelnika, rzekłbym generała, który obok *abuny*, jest najwyższą figurą w kościelnej hierarchii. Naturalnie że w takich stosunkach jakie opisaliśmy, duchowieństwo wywiera wpływ nadzwyczajny, mianowicie na niższe warstwy, co o ile w zasadzie rzeczą jest dobroczynną, o tyle w Abissynii szkodliwą, gdyż wykształcenie duchownych, świeckich i zakonnych, równa się prawie zeru. Jakkolwiekby, te smutne resztki chrześcijaństwa, dają jeszcze mieszkańcom Abissynii duchową pewną wyższość nad sąsiadami, którzy albo hołdują przesadom Mahometa, albo kłaniają się dzikim fetyszom. Skutki chrześcijaństwa widoczne są na każdym

kroku: pojedyncze np. plemiona wojują między sobą bezustannie, ale podczas gdy u sąsiednich mahometańskich lub pogańskich murzynów kończy się wojna zupełnem wytopieniem pobitego nieprzyjaciela, u Abissyńczyków żony i dzieci nieprzyjaciół zawsze są szanowane. Prawo bowiem zakazuje surowo, sprzedawać abissyńskiego obywatela w niewolę; można bezwątpienia napotkać tu i owdzie niewolników, ale nie są to nigdy krajowcy, lecz z zewnątrz importowani murzyni. Chrześcianinowi nie wolno się trudnić handlem niewolników, pod karą śmierci. Kobięta nie jest towarem, jak u Turków, Arabów i Murzynów; używa ona wielkiej swobody i zostaje pod opieką prawa. Jeżeli zaś Abissyńczycy dla Europejczyków nader są gościnni, to i ta okoliczność tłumaczy się pewnem duchowem pokrewieństwem, istniejącem między nami a nimi. Otóż dotykalne skutki wiary Chrystusowej. Chrześcianstwu téż zawdzięcza Abissynia rodzaj literatury, która jakkolwiek szczupła i uboga, jednak stanowi pewną karm' duchową. Literatura ta pisaną jest i pisze się w staro-etyopskim języku, który oddawna umarł, lub raczej przeobraził się w szereg nowożytnych narzeczy, które mają się do niego, jak romańskie języki do łaciny. Znaczenie umarłego języka takie samo, jak niegdyś u nas łaciny: stał się on wyłącznym językiem literatury i liturgii. Spokrewniony z innymi semickimi językami, mianowicie z hebrajskim i arabskim, jest jednak daleko od nich trudniejszy dla skomplikowanego alfabetu, liczącego głosek około 200; kształt bowiem każdój spółgłoski zależy od towarzyszącej jęj samogłoski, i tak: pisze się *b* inaczej przed *a*, inaczej przed *o*, inaczej przed *u*, i t. d. To téż księża tylko i uczeni, którzy wychodzą z akademii w Gondarze, władają trudnym alfabetem: ogół nie umie ani czytać, ani pisać. Literatura zresztą narodowa nie bardzo bogata; oprócz Pisma Św. składa się w znacznej części z tłumaczeń teologicznych dzieł greckich, z jałowych kronik i nieosobliwych utworów poetycznych. Literatura więc jest przeważnie teologiczną, i ztąd zapewne pochodzi zapal Abissyńczyków do dysput teologicznych; nie masz narodu, któryby ich przewyższał w téj mierze. Ponieważ ćwiczenie pamięci stanowi ich ulubioną pedagogiczną metodę, przeto można na.

potkać mnóstwo ludzi, rozumie się uczonych, umiejących na pamięć jeżeli nie całą biblią, to przynajmniej trzy czwarte lub połowę. Każdy więc ma gotowy materiał do dysput pod ręką, bo potrzeba tylko cytować ustępy z Pisma Św., i ciskać niemi na przeciwnika, co Abissyńczycy czynią w strasznych rozmiarach. Czasem podróżny myśli że jest w starém, zniedołężniałem Byzancyum, gdzie także dysputowano o dogmatach, gdy już Turcy byli pod murami; tak samo dzieje się w Abissynii: kupcy i żołnierze, uczeni i kobiety, dygnitarze i właściciele dóbr, wszyscy, nie wyjmując wcale ludzi niepiśmiennych, byleby się nadarzyła sposobność, potrafią dysputować całemi dniami: czy np. w Chrystusie jedna była natura lub dwie, czy Duch Św. tylko od Ojca pochodzi, lub też zarazem od Ojca i Syna, i t. d. Czasem dysputy te kończą się w sposób przykry, gdyż w braku argumentów logicznych uciekają się często przeciwnicy do argumentów dotykających. Ale widać z tego wszystkiego, że to lud rozbudzony i pojętny, a podróżni zaręczają, że wcale nie stroni od nauki, że chętnie przeczyta książkę, gdy się do niej dorwie, a gdy sobie wytknie jaki cel naukowy, to i lata całe potrafi wytrwać przy nim.

Krótki, ale wierny obraz religijnego i duchowego życia Abissyńczyków nie wyda się czytelnikom bardzo ponętnym, ale pamiętajmy, że od wielu wieków kraj się cofa bezustannie, a z nim i jego religia. W pierwszych wiekach chrześcijańskich utrzymywał jeszcze rozliczne stosunki z światem rzymskim i z niego czerpał zarodki własnej cywilizacji; odtąd jednakże dziki Islam wytepił do szczytu rzymsko-chrześcijańską oświatę w Egipcie i na północnych wybrzeżach Afryki, a potem nawet zaraził większą część Murzynów, sąsiadujących z Abissynią: odtąd ustały wszelkie stosunki między nią a źródłem chrześcijaństwa, kraj zatrzymał się w rozwoju, a wszystko co się zatrzyma w drodze postępu, zmarnieje niechybnie; to też zmarniała Abissynia. Prawda, że jeszcze dzisiaj, jak przed wiekami, ciągną liczni pielgrzymi do grobu Zbawiciela; ale czynią to bez skruchy i bez przekonania, jedynie dla świeckich widoków, aby odznaczyć się między swymi. Wielu zaś z tych pielgrzymów wraca z Jerozolimy przez Mekkę i tam przyjmują Islam, także bez przekonania, jedynie żeby zarobić sumę, wypłacaną bie-

dnym neofitom przez tureckiego paszę, aby mieć czém pokryć kosztu powrotu. Naturalnie, że tacy pielgrzymi, powróciwszy do ojczyzny, nie podnoszą w niczém ducha religijnego, to téż zdaje nam się, że chrześcijaństwo abissyńskie, jako sekta odrębna, wskazaném jest na zagubę, bo oderwane od pnia chrześcijaństwa, pozbawioném zostało soków żywotnych. Jest to gałąź niegdyś świeża, którą burze dziejowe rzuciły daleko od drzewa i która zasycha coraz więcej. Islam z dniem każdym zyskuje więcej prozelitów wśród ludów murzyńskich okalających Abissynią, coraz węższemi sploty otacza on jęj góry; już się do nich wdziera wszystkimi wąwozami: jeszcze wiek jeden lub dwa, a udusi zupełnie napół obumarłą wiarę. Przecież Europa spieszy z pomocą, aby odświeżyć zagrożoną starą wiarę Chrystusową: od wieków Rzym posyłał tam swoich misyonarzy, którzy jednak nie wiele zdziałali. Wspomniemy o tych usiłowaniach nieco później, na tém miejscu poświęcimy słów kilka misyjom istniejącym tam obecnie. Dwie tam są główne misyie, pracujące z różném powodzeniem: angielska i francuzka.

Los każdéj misyi w mniej cywilizowanych krajach, związany jest z politycznym wpływem narodu, od którego wychodzi. Ponieważ Francuzi wspierali współzawodników teraźniejszego cesarza, Anglicy zaś go uznali zaraz po koronacyi, przeto misya angielska przez lat kilka była górą. Jęj misyonarze i konsulowie otaczali ciągle cesarza, i pod jego boki rozszerzali działalność swoje. Jednakże nie bardzo im się powiodło. Lud, wierzący w świętych i Matkę Boską, kochający się w obrazach, w processyach i świetnych religijnych obrzędach, odpycha z oburzeniem zimny racjonalizm północy, który mu wcale nie przypada do serca. Cesarz, pragnący we wszystkim centralizacyi i jedności, nie lubi wcale różnaitości sekt i ceni angielskich misyonarzy, nie dla ich wiadomości teologicznych, lecz dla technicznych zdolności. Pozamykał im szkoły i zakazał dysputować, ale za to zrobił z nich architektów, inżynierów, dozorców fabryk, lekarzy i Bóg wie co. Misyonarze musieli budować twierdze, urządzać działolejnie, najrozmaitsze fabryki, i tak stracili czas na najrozmaitszych zajęciach, wyjąwszy głoszenie słowa bożego. Wiadomo, że nareszcie cesarz pogniewał się

z Anglią, wsadził większą część misyonarzy i emisaryuszów do obronnej *Magdali*, a resztę trzyma przy sobie pod strażą. Taki był przebieg nieszczęśliwy missyi protestanckiej. Katolicka była nieco szczęśliwszą: wspominałem, że w dawniejszych wiekach rozpoczynała po kilkakroć swoje działanie, ale zawsze bezużytecznie: opowiem zaraz o tych usiłowaniach obszerniej. Teraźniejsza missya katolicka może dlatego więcej jest tolerowaną od dawniejszych, że oddzieliła się od politycznego wpływu Francyi. Od dwudziestu przeszło lat pracuje ona cicho w północnych częściach Abissynii, na samym jej krańcu, daleko od oka cesarza. Wykształciła sobie kilkudziesięciu krajowych kapłanów, którzy wywierają wpływ bardzo zbawienny na swoje parafie: lud uczęszcza regularniej do kościołów i otacza związki małżeńskie coraz większym szacunkiem. Oto pierwsze choć bardzo skromne owoce tej missyi, którą założył zmarły w r. 1860 biskup *Justyn de Jacobis*; był to człowiek tak szlachetny i tak łagodnego usposobienia, że wszystkie sekty, nawet sam cesarz szanowali go mimowolnie. Katolicka zresztą missya postępuje sobie daleko rozsądniej, od angielskiej: Anglicy chcieli wszystko stare wykorzenieć odrazu i dać biblią ludowi w rękę, który po większej części nie umie nawet czytać; katolicy zostawili wszystkie dawne zwyczaje: staro-etyopską liturgią, rozliczne posty i małżeństwo kapłanów, a w sporach dogmatycznych poczynają sobie bardzo ostrożnie, wiedząc naprzód, że takowe wśród ludu zupełnie zaniedbanego i podupadłego duchowo nie mogą przyczynić się do rozjaśnienia prawdy. Przecież przyszłość dopiero okaże, o ile Bóg pobłogosławi ich szlachetnej pracy.

Poznaliśmy kraj i stan obecny jego oświaty, powiedzmy także coś o jego dziejach i różnych kolejach, przez jakie przechodził od niepamiętnych czasów. Początki abissyńskiej historii otoczone nieprzeniknionym zmrokiem bajek, które więcej pochlebiają narodowej próżności, niż prawdzie; od wielu wieków panowała nad krajem starożytna familia, która według mniemania ludu pochodzi wprost od Salomona. Wiadomo bowiem z Pisma Ś., że piękna królowa *Saby*, zaciekawiona rozgłosem Salomonowej mądrości, pojechała do żydo-

wskiego króla w odwiedziny. Z powrotem przywiozła do kraju swego nie tylko wiele mądrych nauk, lecz i zadatek miłości: zadatkem téj miłości był syn *Manilehek*, który został podobno praojcem abissyńskiej dynastyi. Począwszy od niego, panowała ona, mimo różnych kolei zmiennéj fortuny aż do naszych dni prawie, i dopiero teraźniejszy cesarz, człowiek bez przeszłości, dziecko ludu, pozbawił ją odwiecznej godności. Ale na cóż przechodzić szczegółowo losy kraju i staréj dynastyi, nie bardzo one są ciekawe i nużącej jednostajności, jak we wszystkich despotycznie rządzonych krajach Wschodu. Niesnaski rodzinne, wojny domowe, bunt krnąbrnych satrapów i możnych panów, walki przeciw najazdom Murzynów i Turków z Egiptu, stanowią tkanę, na której każde stulecie wyhaftowało te same postaci, te same wypadki. Jedyną ciekawą rzeczą na téj historycznej kanwie są stosunki z Europą, to téż zamilczymy zupełnie o historyi wewnętrznej i poświęcimy krótką wzmiankę stosunkom z zagranicą.

Przez całe średnie wieki Europejczycy nie wiedzieli nic zgoła o Abissynii, gdy ta nagle dała znak życia przy bardzo ważném zdarzeniu. W r. 1439 zebrał się sobór powszechny we Florencyi, ażeby naradzać się nad pogodzeniem poważnionych kościołów, greckiego i rzymskiego. Otóż na wspomniany sobór przyjechali także abissyńscy zakonnicy, z polecenia swego cesarza Konstantyna. Przysłał ich zaś przeor abissyńskiego klasztoru, istniejącego w Jerozolimie od wieku XIII, który był punktem zbornym i gospodą dla pielgrzymów, przybywających co rok do świętego miasta z Etyopii. Abissyńscy zakonnicy nie bardzo wspierali pojednawcze usiłowania soboru, przeciwnie obstawając uporczywie za dogmatem, jako Duch Ś. tylko od Ojca pochodzi, przyczynili się nie mało do uniemożliwienia zgody między wschodnim a zachodnim kościołem. Przywiązywano przecież w Rzymie niemało wagi do przybycia deputacyi z odległego kraju i dzisiaj jeszcze można w Watykanie oglądać obraz, wyobrażający to szczególne zdarzenie.

W tych czasach także usiłowali Portugalczycy odkryć nową drogę morską do Indyi, a wysyłając różne wyprawy na zachodnie wybrzeża Afryki, aż do ujścia *Senegalu*, dowie-

dzieli się tam od kupców, którzy zdaje się przebyli lądem wszęsz całą Afrykę, o istnieniu na wschodzie silnego państwa chrześcijańskiego. Sądząc słusznie, że państwo to stanie się bardzo ważnem ogniwem w stosunkach z Indjami, posłał nareszcie król Jan II ku końcowi XV stulecia dwóch znakomitych ludzi: *Covillan'a* i *de Payva* zwyczajną drogą przez międzymorze Suez do morza Czerwonego, aby się dowiedzieli tam czegoś pewnego o Indjach, a zarazem o państwie owém chrześcijańskiem, napół mitycznem. *De Payva* przepadł bez wieści w tamtych stronach, *Covillan* zaś, dostawszy się szczęśliwie do Indyi Wschodnich i zabawiwszy tam czas dłuższy, wstąpił z powrotem do cesarza Abissynii, Alexandra, który rezydował wtedy w mieście *Szoa*. Spotkał go los ten sam, co potem wielu innych Europejczyków. Cesarz ożenił go, dał mu znaczne posiadłości ziemskie i rozkazał pozostać w kraju. *Covillan* przecież utrzymywał stałą korespondencyą z królem portugalskim, i pierwszy udzielił pewniejszych wiadomości o Abissynii i krajach sąsiednich. Tymczasem odkrył *Bartłomiej Diaz* drogę naokoło przylądka Dobrzej Nadziei, w ślady jego popłynął *Vasco de Gama* z silną flotą do Indyi i zdobył *Kalikut*; odtąd uwaga rządu portugalskiego odwróciła się od Abissynii, a zwróciła się przeważnie ku zachodnim wybrzeżom Afryki, wzdłuż których wiodła nowa droga do ich posiadłości w Indjach.

Mówią powszechnie, że nowa ta droga pociągnęła za sobą przewrót w handlu europejskim i upadek Wenecyi, która przez międzymorze Suez i morze Czerwone utrzymywała stosunki z Indjami. Przecież to nie prawda. Droga przez morze Czerwone jest krótsza i wygodniejsza: kupcy arabscy, perscy, egipscy przywozili regularnie towary indyjskie do Suez, zkąd je zabierali Wenecyanie. Te stosunki handlowe nie potrzebowały lękać się konkurencyi portugalskiej na drodze dłuższej i mozolniejszej naokoło przylądka Dobrzej Nadziei. Jeżeli one ustały ze szkodą Wenecyi, to nie w skutek owój konkurencyi, lecz zmian politycznych, zaśłyłych na brzegach morza Czerwonego. Wiadomo, że Egipt stanowił państwo samodzielne, że tak samo inne wybrzeża morza Czerwonego rozpadały się na liczne wolne państewka; odkąd jednak *Selim I* został sułtanem tureckim, wszystko

się zmieniło odrazu. W r. 1517 został Egipt podbitym i przyłączonym na zawsze do państwa tureckiego; w kilka lat potem spotkał tenże los całe pobrzeże morza Czerwonego aż do Indyjskiego oceanu. Wszędzie usadowili się Turcy, wszędzie nakładali olbrzymie podatki i cła niezmierne, i wkrótce bezmyślność i brutalność sułtańskich paszów zniweczyły cały handel, kwitnący od wieków na morzu Czerwonym, a zostający w rękach kupców arabskich i indyjskich; ta więc okoliczność a nie współzawodnictwo portugalskie zadało śmiertelny cios dumnej Wenecyi.

Zdobycze Turków w owych stronach zaniepokoiły mocno Abissynią. Sprzymierzywszy się z sąsiednimi pogańskimi ludami, które się szybko nawracały na Islam, stawały się armie tureckie coraz groźniejszymi. Ale od Abissynii nie daleko do Indyi, a tam kwitnęły już osady portugalskie w najlepsze; wtedyto małoletni cesarz Dawid, pobity przez sąsiadów i doprowadzony do rozpacz, usłuchał rady znanego nam już *Covillan'a*, który żył jeszcze natenczas w pierwszej połowie XVI stulecia. Cesarz wyprawił *Armenczyka Macieja* z czułym listem do króla portugalskiego przyrzekając mu pokowę państwa, byleby mu dopomógł do zniweczenia Islamu i do zburzenia Mekki. Maciej po długich przygodach dostał się nareszcie trzeciego roku do Lizbony, gdzie go król Jan II przyjął życzliwie i natychmiast wyprawił małą flotę na pomoc abissyńskiego mocarza. Flota ta jednak zmarniała w drodze, i dopiero druga, pod wodzą admirała Segueyr'y dopłynęła szczęśliwie do miasta *Massaua* gdzie i dzisiaj wylądowała armia angielska. Poselstwo portugalskie, mając ze sobą wspomnianego Macieja, udało się natychmiast do Abissynii, gdzie po sześciomiesięcznej podróży spotkało się nareszcie z cesarzem Dawidem. Ale uczucia cesarza odmieniły się wielce: pobiwszy szczęśliwie swoich nieprzyjaciół i nie potrzebując już zagranicznej pomocy, cesarz przyjął posłów dumnie i nareszcie po pięciu latach nadaremnych wyczekiwań odprawił ich z niczem, zatrzymawszy dwóch z nich u siebie, lekarza Jana i malarza Bermudesą. Ale los wojny jeżeli okazał się gdzie niestałym, to mianowicie w Abissynii. Cesarz Dawid niedługo potem został pobitym od Turków i plemion pogranicznych, i przez lat 14

cała Abissynia była wystawioną bezkarnie na wszystkie okropności wojny. Wtedyto, wśród tych okropnych zamieszek, został portugalski ów lekarz *Jan Bermudes*, po śmierci abissyńskiego prymasa *abuń*, t. j. głową narodowego kościoła. Ledwo dostąpiwszy téj godności, udał się pospiesznie do Rzymu, gdzie od papieża uzyskawszy tytuł „*patryarchy morza*” wracał do swojej dyecezyi. Ale tymczasem cesarz *David* umarł, a następca jego *Klaudysz* bił się dosyć szczęśliwie z Turkami i Murzynami. Nowy patryarcha wracał ale nie sam; uzyskawszy od króla portugalskiego znaczne posiłki, wylądował w r. 1542 w *Massaua*, poczem armia portugalska pod dowództwem *Chrystofera*, wsparta silnemi zastępami Abissyńczyków, udała się w głąb kraju, aby połączyć się z cesarzem *Klaudyszem*. Jest to pierwsza armia europejska, która odważyła się na to: Anglicy dzisiaj próbują to samo drugi raz. Armia jednak portugalska zanim zdołała się połączyć z cesarzem, została w drodze zniesioną przez Turków; bohatérski dowódca *Chrystofer de Gama* poległ, a głowę jego posłano do *Stambułu*, jako oznakę zwycięstwa. Niedobitki portugalskie przedarły się szczęśliwie do cesarza i przyczyniły się potem do zadania Turkom walnej klęski, poczem cesarz odzyskał wszystkie prowincye państwa. Portugalczycy zaciągnąwszy się w służbę cesarza, osiedli w kraju, gościnnie przyjęci; ale *Bermudes*, oddawszy tak wielkie usługi cesarzowi, domagał się nadaremnie dyecezyi swojej, albowiem podczas niebytności jego obrano innego *abuń*, a cesarz nie myślał wcale ani złożyć go z urzędu, ani uznać supremacyi Rzymu. Pozostało więc wszystko po staremu, a usiłowania połączenia Abissynii z Rzymem spełzły na niczem. Rozpoczęto je jednak niedługo potem na nowo. W r. 1558 przybyło kilku OO. Jezuitów, których cesarz przyjął zrazu bardzo życzliwie, ale ci trawili czas na bezużytecznych dysputach z krajowém duchowieństwem, a chcąc odrazu znieść wszystkie odrębne cechy abissyńskiego kościoła, rozjątrzyli lud przeciw sobie. Obok tego zdaje się mieli także udział nie mały w domowych wojnach, łącząc się zawsze z tym pretendentem, który obiecywał przejść na katolicyzm; ale szczęśliwi pretendenci nigdy nie chcieli dotrzymać obietnicy, a nieszczęśliwi wciągali regularnie we wspólną zgubę

swoich katolickich przyjaciół. Ztąd każda nowa rewolucya sprowadzała nowe prześladowanie i na Portugalczyków, osiadłych w kraju i na katolickie duchowieństwo.

Pomyślniejsze czasy zaczęły się dla katolicyzmu, gdy w r. 1597 przybyło kilku OO. Jezuitów z Indyi, z kwitnącego domu w Goa. Byli to naturalnie znowu Portugalczycy a najznakomitszym pomiędzy nimi *O. Paez*, który umiarkowaniem, cierpliwością i chęcią zgody, osiągnął wszystko to, czego nie mogli uzyskać poprzednio misyonarze, powodując się niewczesnym zapałem i przesadzoną gorliwością. *O. Paez* zrazu działał cicho, założył szkoły, w których mnóstwo kształcił nowo nawróconych krajowców, a nareszcie wystąpił z całym ich orszakiem publicznie w r. 1604. Rozumie się że miejscowe duchowieństwo nie zdołało ostać się w dysputach z młodymi uczniami *O. Paez'a*, a cesarz tak się ucieszył i z widocznych zasług nauczyciela i z zadziwiających postępów uczni, że oznajmił *O. Paez'owi* gotowość przejścia na katolicką wiarę i wyprawił listy do papieża i do króla hiszpańskiego (Portugalia zostawała wtedy pod berłem Hiszpanii) prosząc o jezuitów do zakładania szkół i o rzemieślników, do urządzenia fabryk. Ten krok cesarza wywołał ogólne powstanie magnatów i krajowego duchowieństwa i nie długo potem cesarz zginął w wielkiej bitwie. Jego następcą jednak Socynios pozostał również życzliwym dla katolików: *O. Paez* używał u niego nadzwyczajnego poważania i katolicyzm robił z każdym rokiem większe postępy. Z tych to czasów datują wszystkie znaczniejsze ruiny, wszystkie resztki dróg i mostów, o których wspomnieliśmy dawniej: są one wszystkie bez wyjątku dziełem portugalskich jezuitów. Przed nimi nie znano w Abissynii kamiennych gmachów, a po nich budować je zaprzestano. Bo téż *Paez* był jak to mówią, geniuszem uniwersalnym, znał się na każdym rzemiośle, na każdej sztuce, kierował budowaniem zamków, kościołów, gmachów publicznych, dróg i mostów, których rozwaliska zadziwiają dzisiaj jeszcze wędrowców. Na nieśczęście umarł gorliwy kapłan zbyt rychło, i rzadko kiedy było czyjeś apostołstwo uwieńczone również zadziwiającemi skutkami. Ale od śmierci jego wszystko się zmieniło. W r. 1625 przybył z Rzymu nowo zamianowany patriarcha etyopski *Alfons Mendez*. Cesarz Socynios z całym dworem zło-

żył mu uroczyście hołd posłuszeństwa. Ale wkrótce nowy patryarcha dumnym i szorstkiem postępowaniem zniechęcił sobie wszystkich, a chociaż Socynios pozostał do śmierci wiernym złożonej przysiędze, już syn jego *Bazyliides* zaraz po wstąpieniu na tron zniweczył całe dzieło ojca, powodując się ogólną niechęcią. Patryarcha i całe katolickie duchowieństwo odebrali rozkaz opuszczenia kraju, a gdy powstanie kilku prowincyi na ich korzyść nie udało się, wielkie prześladowanie zatarło wszelkie ślady nie dawno zaszczipionej wiary.

Odtąd ustały na długo wszelkie stosunki między Abissynią a Europą, tylko kupcy hollenderscy przyjeżdżali od czasu do czasu z Indyj Wschodnich. Usiłowania Ludwika XIV, żeby ustalić wpływ Francyi w nieznanym kraju, nie odniosły pożądanego skutku i Abissynia pozostała aż do naszego wieku nieznaną i zamkniętą w sobie. Dzisiaj oczywiście wszystko się odmieniło: w ciągu obecnego stulecia Francya i Anglia usadowiły się w kraju, a z niemi misye anglikańska i rzymska, których działanie poznaliśmy już dostatecznie. Głównie zaś przyczyniły się do poznania kraju podróże odważnych uczonych, którzy z narażeniem życia przejechawszy kraj w dłużej i w szerz, odślonili w sławnych dziełach ten nieznaną kąt ziemi. Trudno wyliczyć wszystkich, wspomnimy tylko, że już w przeszłym wieku Anglik *James Bruce* zwiedził kraj ten i opisał dokładnie. Z najnowszych wymienimy trzech, Anglika *Baker'a* i dwóch Niemców: hr. *Krakow-Wickerode* i nareszeie *Heuglin'a*, z których każdy dał gruntowne sprawozdanie z swojej podróży. Skorzystamy głównie z dzieła p. *Heuglin'a*, „Podróż do Abissynii” i t. d. (Reise nach Abissynien, den Gala-laendern, Ost-Sudan und Chartum); aby dać czytelnikom kilka szczegółów o cesarzu Teodorze poprzedzimy je krótką wstępną uwagą.

Powiedzieliśmy już, że od wielu wieków panowała nad Abissynią krajowa dynastia, dość mitycznego pochodzenia. Dynastia ta utrzymywała zawsze berło w swojej rodzinie, z władzą nieograniczoną, a chociaż nieraz się zdarzało, że bracia lub krewni dobijali się władzy najwyższej, nie odważył się jednak żaden obcy zająć miejsce prawowitych panów

kraju. Dopiero od połowy przeszłego wieku doznało znaczenie panującej familii niebezpiecznego szwanku, spotkał ją bowiem ten sam los zupełnie. co niegdyś królów francuzkich z domu Merowingów. Marszałek dworu stał się panem rzeczywistym a cesarz tytularnym cieniem. Stosunek taki trwał aż do roku 1855, gdy nareszcie prosty żołnierz imieniem *Cassa*, dobry wojownik, ale zresztą człowiek bez przeszłości i przodków, wyrócił spróchniałe rządy dynastyi, pozbawionę oddawna wszelkiej powagi, i ogłosił się cesarzem w Gondarze pod imieniem Teodora II.

Ludność kraju nadzwyczaj jest rozmaita: szczep panujący stanowi szlachtę, a podbici krajowcy są zbiorowiskiem najrozmaitszych plemion, których naliczyć można przynajmniej dwadzieścia, a te nie cierpią się wzajemnie i wojują między sobą, bezustannie. Los tych podbitych plemion był bardzo opłakany za dawnych rządów. W każdej prowincyi znaczna jakaś rodzina z panującej szlachty dzierżyła najwyższe urzędy, sposobem dziedzicznych lenności. Mali ci, prawie niezależni satrapi, uciskali lud a panujący nie miał dość władzy, aby go zasłaniać. To też, przyjęto wstąpienie na tron Teodora z wielką radością: lud mniemał, że to zbawca zesłany z nieba, gdyż chodziła tam dawna przepowiednia, że kiedyś zjawi się możny pan, który wróci krajowi dawną świetność i sławę. Teodor miał w istocie wielkie plany, ale zacząwszy zbyt wiele rzeczy naraz, nie mógł żadnej dokończyć. Marzył np. o rozszerzeniu granic swoich aż do morza Czerwonego i o podbiciu pomorza, zostającego pod zwierzchnictwem tureckiego sułtana. Ale niesforna armia abissyńska została pobita przez małą garstkę dobrze uzbrojonych Turków, i trzeba było odłożyć wielkie plany na później. Marzył o zaprowadzeniu dobrych sądów, podniesieniu handlu, dźwignięciu przemysłu, ale nienstające buntyniwcęz wszystkie jego zamiary. Od roku 1855, gdy ozdobił skroń cesarską koronę, wygląda Abissynia nadaremnie pokoju. Gdzie cesarz obozuje z bitnemi tysiącami, tam go słuchają; ledwo udał się do innęj prowincyi, już nowe powstanie wybuchło za jego śladami.

We wszystkich prowincyach stara szlachta, nie cierpiąca samozwańca parweniusza, podnosi rokosz prawie corocznie, znajdując zawsze licznych ochotników, którzy przekładają życie awanturnicze w górach, nad cichy, pracowity

pobył w domowej zagrodzie. Te bandy powstańcze, nie mając pewnej przed sobą przyszłości, żyją z dnia na dzień, używają teraźniejszości, bo jutro nie do nich należy i pustoszą kraj w najlepsze. Chłopi pozbawieni trzód i sprzętów, łączą się z nimi, aby nie umrzeć z głodu. Rozległość kraju sprzyja powstańcom, dzikie lasy i niezliczone wąwozy dają im bezpieczne schronienie. Armia zaś cesarska, nie lepiej obchodzi się z krajem od powstańców, wlokąc za sobą tabor nieprzejrzany i tysiące kobiet i dzieci, podobną jest do szarańczy, która nic nie zostawia po sobie: przed nią idzie popłoch, za nią spustoszenie. I tak mianowicie cała południowa Abissynia, która niegdyś była krajem opływającym w miód i mleko, jak mówi Pismo Św. zamieniła się w pustkowienie, gdzie życie stało się zgoła niepodobnym. Żeby więc wyrwać z tego zamętu kłopotów i wrócić krajowi dawną pomyślność, trzeba być niemal więcej, niż człowiekiem; zdaje się jednak że cesarz Teodor nie podoła temu zadaniu, gdyż o ile jest dobrym żołnierzem, o tyle złym politykiem, czego dowodem niepotrzebne drażnienie Anglików, które ściągnęło na kraj, w dodatku do istniejących już nieszczęść, jeszcze niebezpieczną zagraniczną wojnę.

Ale zapoznajmy się nareszcie z cesarzem i jego obozem. P. *Heuglin* odwiedził go dwa razy: w r. 1853 i w kwietniu r. 1862. Przytaczamy kilka szczegółów z drugich jego odwiedzin, które pod wielą względami bardzo są ciekawe. Cesarz obozował wtedy w południowej części Abissynii, w prowincyi *Wollo*, niezbyt daleko od sławnej fortecy *Magdala*, gdzie uwięzieni Anglicy wyglądają oswobodzenia swego. P. *Heuglin*, zaproszony przez cesarza, wyjechał z honorową eskortą z Gondaru, dawniej stolicy, leżącej prawie w środku kraju, aby udać się do obozu. Opuściwszy Gondar 17 lutego 1862 r. przyjechał na początku marca do miasta *Gaffat*, gdzie mieszkali protestancy misjonarze. Ci uwiadomieni o jego przybyciu, przyjęli go gościnnie i zatrzymali u siebie tydzień cały. Misjonarze, stosownie do rozkazów cesarza, nie zajmowali się wcale głoszeniem słowa bożego, zamiast tego pracowali jako puszkarze, stolarze, stelmachy, działoleje, siodlarze, inżynierzy i architekci. Cesarz obchodził się z nimi bardzo dobrze: wyznaczył im obszerne grunta na stałe utrzymanie, a naczelnik prowincyi, rezydujący w *Debra-*

Tabor zaopatrywał ich w bydło, miód i inne potrzeby. Niewolno im było jednak wyjeżdżać ztamtąd bez osobnego pozwolenia. Za tydzień udał się p. Heuglin w dalszą podróż; 15 marca stanął pod *Magdala*, do której jednak zabroniono mu wstępu. *Magdala* leży na górze, wynoszącej mniej więcej $\frac{1}{2}$ mili kwadr.; przystęp do niej jest zupełnie niemożliwym, gdyż skaliste boki góry zapadają się stromo w przepaść; forteca więc, posiadająca obfite źródła i nawet grunta uprawne, nie da się ani wziąć szturmem, ani wymorzyć głodem: jest ona główną podstawą cesarskiej potęgi, gdyż tam znajdują się jego magazyny, arsenał, skarby i więźnie stanu. Trzy godziny drogi od *Magdali* mieszkał alter-ego cesarski *Ras-Ubie* w oszańcowanym obozie. Ten, młody jeszcze, dostojny mężczyzna, przyjął p. Heuglin'a bardzo uprzejmie w namiocie wykładanym bogatymi dywanami, ale oświadczył mu z góry, że go zatrzyma u siebie aż do dalszych rozkazów cesarza. Areszt ten dosyć zresztą przyjemny, osładzał sobie p. Heuglin spacerami po dzikiej, malowniczej okolicy, gdzie, jak zawsze robił ciekawe spostrzeżenia geologiczne i botaniczne, zbierał liczne okazy ciekawych i rzadkich roślin i zwierząt. Mianowicie studyował tam życie pewnego rodzaju małp, zowiących się zwykle *pawianami* a znanych w zoologii pod uczoneń nazwiskiem *Theropithecus*. Ponieważ psychologia i socjologia tych małp bardzo są ciekawe, przytaczam z nich kilka szczegółów; sądzę że czytelnicy nie znudzą się niemi.

Małpy te mieszkają w niedostępnych jaskiniach, gdzie tuląc się do siebie przepędzają zimne noce, bezpieczne od srogich lampartów i żartocznych hien. Ze wschodem słońca wychodzą ze swoich kryjówek, prowadzone przez kilku starych samców, i drżące od zimna siadają w wielkich gromadach na skałach, zabezpieczonych od wiatru. Podczas tego rannego grzania się na słońcu samice i młode drzemają jeszcze godzinę lub dwie, jak domyśla się uczony podróżny, podczas gdy samce siedzą szerokiemi kołem, jak wedety na straży. Ale odbywanie warty nudzi je diabelnie, to też ziewają bezustannie, otwierając szeroko brzydką paszczę, przecierają sobie oczy, a gdy chłodny poranny wietrzyk potarga im długą, żółtawą grzywę, warczą głośno na znak niezadowolenia. Tymczasem słońce wzbija się coraz wyżej,

gorąco się wzmaga, a małpice drzemiące dotąd w dość niewygodnych postawach, objawiają humor coraz lepszy. Jedna rozciąga się wygodnie na słońcu i przewraca się na wszystkie boki, druga przegląda troskliwie futro swego malca a głośném klaskaniem zębów oznajmia, że go oczyszcza z różnych drobnych nieproszonych gości. Nareszcie cała gromada, rozbudzona gorącym słońca porusza się, malcy przewracają niebezpieczne koziołki z niecierpliwości, starzy tymczasem ustawiają gromadę długim szeregiem, który na czele i na końcu dozorowany przez doświadczonych samców, udaje się gęsim pochodem, po przez spadzistość skał w dolinę. Tam już snują się inne gromady: po krótkim przywitaniu i rozstawieniu wart, zabiera się reszta do śniadania, które bardzo jest skromném, składa się z liści, pączków, owoców, ziarn rozmaitych a smakosze podnoszą wielkie kamienie i wyciągają z pod nich tłuste robaki i chrabąszcze, żeby mieć coś *pour la bonne bouche*. Malcy tymczasem bawią się i skaczą wesoło, przeskadzają bezustannie starym w jedzeniu, a te doprowadzone do rozpacz, gryzą na wszystkie strony, biją malców po uszach, lub uchwyciwszy za krótki ogon odrzucają gdzieś daleko. Ale dorosła młodzież niemniej swawolna od malców. Tam nad kamieniem siedzi piękna małpka i zjada smacznie tłustego ślimaka; wtém zbliża się do niej młody galant w zalotnych susach: ona spuszcza skromnie oczki i nie zwraca na niego uwagi, on staje się coraz więcej natrętnym. Ale na nieszczęście małżonek ładnej, skromnej małpki zoczył zuchwałego adonisa, bieży ku niemu szalonym pędem, chwyta go ostreimi szponami za wełniastą grzywę; ten się odgryza, nie poczuwając się niby do niczego, a więc wrzawa i straszna bitwa, kończąca się szybką ucieczką swawolnego galanta. I tak wesoły ludek małp bawi się, skacze, ugania się po zielonej dolinie. Wtém zaszczekały warty: znak to, że się zbliża jakie niebezpieczeństwo. Popłoch wszędzie: każda gromada zbiera się na około swego dowódcy, samice trzymają przy sobie swoje młode i powoli cały tłum cofa się ku skałom, oglądając się bacznie na wszystkie strony. P. Henglin szczerzył je często dla zabawy psami, ale psy, choć dopędzały z łatwością uciekające małpy, jednak cofały się z przestraszeniem, ile razy stare pawiany pokazały im zęby. Gdy zaś

już dostały się na skały, wtedy żartują sobie z wszystkich, rzucają kamieniami na prześladowców i zmuszają ich do odwrotu. Najlepiej zaś można im się przypatrzeć w bliskości jakiego strumyka, gdyż regularnie po południu całe ich tłumy przybywają do wody, często razem z innymi zwierzętami, byleby nie drapieżnemi; wieczorem zaś wracają do swoich jaskiń na nocleg, tym samym porządkiem, w jakim opuścili je nad ranem. Ale wróćmy od małp do pana Heuglin'a.

Przebywał już dwanaście dni w towarzystwie Ras-Ubie'go, gdy nareszcie obaj wezwani zostali do cesarza. Udali się więc natychmiast w pochód. Po pięciogodzinnej przykrój podróży, wśród deszczu i gradu, zatrzymali się nareszcie u pierwszych forpocz cesarskiego obozu, który ciągał się na kilka godzin drogi. Punktem środkowym obozu była wyżyna, na której stały namioty magnatów, wśród nich płócienny kościół obozowy, na prawo i lewo od niego wielkie namioty, zajmowane przez dwie żony cesarza, dalej biskupa, komendanta obozu i innych wyższych wojskowych. Tam też rozbito namiot dla p. Heuglin'a i jego służby, ale cesarza nie było w obozie. Nazajutrz 29 marca cała armia, Heuglin naturalnie razem z nią, zapaliła obóz i pomaszerowała dalej i dopiero 4 kwietnia połączyła się z cesarzem. Ten zawołał p. Heuglin'a jeszcze tegoż dnia do siebie. Siedział w wielkim namiocie z wełny, wykładanym kobiercami, na małej sofce, w skromnym ubraniu. Usadowiwszy p. Heuglina obok siebie, przypomniał mu ubiegłe czasy i pierwsze ich spotkanie się w r. 1853, poczem rozdałno obecnym wódkę, wyborny miód i zastawiono postną wieczerzę. Cesarz wydawał się p. Heuglin'owi znacznie starszym, niż w r. 1853 i bardzo znużonym, jego oczy jednak nie straciły nic z dawnego blasku. Po wieczerzy pożegnał cesarz łaskawie swego gościa, zapewniwszy go o niezmiennej swojej życzliwości.

Cesarz pracował od świtu do wieczora, ponieważ załatwiał sam wszystkie ważniejsze sprawy. Już przed wschodem słońca zbierają się tłumy petycyonaryuszów, wołających żałośnie *abet-abet* (panie! panie!) lub też *dżau-hoi, dżau-hoi* (słuchaj nas! słuchaj nas!). Cesarz udziela im wszystkim bez wyjątku audyencye w łóżku, wysłucha każdego z oso-

ba i odprawia łaskawie. Po petycjach przybywają urzędowe raporta i gońcy, patrole przyprowadzają nocnych włóczęgów, a cesarz wszystko sądzi własnoocznie, bez wielu słów i długich badań. Jest bardzo sprawiedliwym, wspańiałomyślnym i hojnym, ale też nieubłaganej surowości, a często nawet okrutny, przekonany że tylko postrachem można rządzić tak niesfornym ludem. Ubranie jego zawsze bardzo skromne, chodzi boso lub w sandałach, jeździec z niego doskonały a strzelec niezrównany; w bitwie walczy zawsze w pierwszym szeregu. Przepisów religijnych przestrzega skrupulatnie, i otoczony zawsze licznym zastępem zakonników.

Dnia 6 kwietnia chciał p. Heuglin pożegnać cesarza, ale ten mu wytłumaczył, że dla niepewnych dróg rzecz to niemożliwa. Musiał więc pozostać w obozie i miał dosyć czasu, aby w nim się rozpatrzeć. Obóz ten w niczem nie był podobny do naszych. Rozciągał się na dwie mile kwadratowe, a liczba żołnierzy, sług, kobiet, niewolnic i dzieci wynosiła przynajmniej 150,000; brak żywności dał się uczuć niebawem, gdyż niezliczone stada krów, koni, owiec i osłów zjadły dokoła wszystko w całej okolicy. Samych żołnierzy było przynajmniej 5000, ale organizacja ich i podział bardzo luźny, artylerya składała się tylko z małych armat, gdyż innych trudno używać w górach, i nie zrobiła osobliwego wrażenia na Heuglin'ie. Jedyna jazda wydała mu się wyborną, która ubrana w czarne wełniane płaszcze, uzbrojona w dzidy i szerokie szaszki, pędziła wesoło na małych, silnych, niekutych koniach. Piechota zaopatrzona w większej części w karabiny, prawda nie szczególne, ale mimo złej broni i gorszej jeszcze amunicyi, strzelała ona nadzwyczaj celnie, choć niedaleko.

P. Heuglin zatrzymany mimowoli, odbywał z całą armią najfatalniejsze marsze i nie bardzo smakował w tém dziękim męczącym życiu; 20 kwietnia obchodzono uroczyscie w obozie wielkanocne święto, z muzyką i wystrzałami z armat, oraz pompatyczną procesyą. Cesarz rozdawał na wszystkie strony nagrody i oznaki swojej łaski, ale też i wiele batów. Kilku nawet generałów doświadczyło na sobie tych dotykalnych dowodów niezadowolnienia. Następnego dnia cesarz nie mając już żywności żadnej w obozie, wyprawił się

z silnym oddziałem do sąsiednich wsi i wrócił po kilku godzinach z wielkim łupem, wiodąc prócz zboża i kawy około 20,000 sztuk bydła rogatego. Ale gęste kłęby dymu na niebie świadczyły wymownie, że poddani nie oddali tego dobrowolnie i że za tę krnąbrność, spalono im zagrody.

Nareszcie 25 kwietnia uzyskał p. Heuglin pozwolenie powrotu i eskortę na drogę; cesarz pożegnał go życzliwie i obdarzył jego towarzyszków hojnie srebrem wybitymi tarczami, drogiemi uzdami, siodłami i innemi cennemi przedmiotami. Nie mamy zamiaru towarzyszyć p. Heuglin'owi w powrocie, gdyż lękamy się żeśmy i tak już nadużyli cierpliwości czytelnika, prawiąc mu tak szczegółowo o kraju który nas obchodzi serdecznie mało, i o cesarzu, którego potęga taka mała. Bacząc jednak na to że małe, niepozorne rzeczy stawają się często przyczynami wielkich wypadków, nie powinniśmy lekceważyć żadnego kraju, choćby najsłabszego, ile razy wchodzi w stosunki czyto przyjazne czy nieprzyjazne z Europą. Zresztą sama ciekawość ciągnie nas silnie do wszystkich mniej znanych zakątków ziemi, a jakkolwiek wydać się może śmieszną, a często nawet bardzo nudną, pozostanie mimo to największym darem, użyczonym nam przez Opatrzność, albowiem ona wiedzie nas do szczęścia i prawdy, torując nam drogę postępu.

Dnia 10 lutego.

Stefan Pawlicki.

